

**TADEUSZ  
KONWICKI**



**RZEKA PODZIEMNA  
PODZIEMNE PTAKI**

Tadeusz Konwicki

# RZEKA PODZIEMNA, PODZIEMNE PTAKI

Wydawnictwo Estymator  
Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-82-2

Copyright © for the text by Maria Konwicka (2022)

Copyright © for this edition by Estymator Jacek Chołoniewski (2022)

[www.estymator.net.pl](http://www.estymator.net.pl)

Publikacja elektroniczna na podstawie edycji wydawnictwa Agora, Warszawa (2010),  
do której tekst, na podstawie rękopisu i wcześniejszych wydań, opracował  
Przemysław Kaniecki

Wydanie I: Wydawnictwo Krąg, Warszawa 1984

Projekt okładki: Olga Bołdok

## Ja:

Lecę, płynę, wiszę nad oceanem. Widzę pod sobą zamrożony granatowy staw bez brzegów, przewiany sypkim śniegiem podobnym do talku, gdzieś tam przeziera seledyn wodorostów, gdzie indziej majaczy szarość korzeni drzew, co dawno umarły. Tylko patrzeć, a tu zza obłych horyzontów nadbiegną chłopcy z łyżwami.

To nie staw, to ocean wzbudzony, spieniony, poryty ogromnymi falami. Stąd wydaje się taflą lodu, a fale zastygłymi kopczykami śniegu. Ale gdyby zniżyć lot, usłyszałbym dziki ryk morza, łoskot przewalających się fal wielkich jak piętrowe domy, jęk wiatrów, co zbiegły się tu ze wszystkich stron świata.

Ten krajobraz pode mną nie zmienia się. Wiszę w strasznej, ogłuszającej ciszy. Gdzieś daleko, prawie nad horyzontem, pojawiają się stadka pękających obłoków, chwilę przypatrują się mnie albo wściekłym żywiołom pode mną, wreszcie kryją się z powrotem za horyzontem, gdzie jest ich kryjówka albo przystań, w której zacumowane czekają na rozkazy. Ziemia jest niema, słońce jest nieme, wszechświat jest niemy.

Kiedy zechcę, w oddali, na krawędzi zakrzywionego horyzontu, ukazuje się ląd. Czasem szybko, kiedy indziej powoli zbliża się do mnie, a właściwie uniżenie podpływa, rozciąga się pode mną jak harmonia i widzę ośnieżone wzniesienia, góry, głębokie doliny ze śladami dróg, po których jeszcze nikt nie chodził.

Wtedy przechylam się na lewy bok i biorę kurs w stronę słońca, które natychmiast przemienia ocean w rzekę, co niesie na swym grzbiecie złoto jesiennych liści. Wtedy robi się cieplej, słońce grzeje i spod słońca nadbiegają poddmuchy żaru. Ten świat pode mną jest moją własnością. Ten świat jest moją planetą.

Potem jest ujście wielkiej rzeki i ogromna wyspa po lewej stronie, a przy ujściu leży łódź zakotwiczona do skał podwodnych. Ale to nie łódź, to kawał ładu, co teraz stał się wyspą o kształcie wrzeciona, a kiedyś był doliną w dalekich moich stronach i później przez bogów albo demony został zepchnięty na morze i złe wiatry zagnały go aż tu, i będzie dryfował dalej przez wieki, tysiąclecia, wieczność.

Obijam się jak ćma o czarne ściany nieskończoności i stale wracam do tego kawałka ziemi podobnego czółnu i czekam, kiedy wybrzmie jak dźwięk, kiedy zgasnę jak ostatni promień. Z dalekich zakątków próżni rozszerzającej się gwałtownie słyszę jęki, płacz bogów rodzących się i ginących, bogów mniejszych, większych i największych. Wszystkie istoty, stwory i siły nadprzyrodzone modlą się o nieistnienie.

A może ich przekleństw, wołań i szlochów nie rozumiem. Może tylko wstąpiłem na wyższe piętro niewiedzy i ten sam strach co dawniej, ale zwiokrotniony, spotworniały, ten sam dobrze znajomy strach w nowym nasileniu ściga mnie, gna przez mroźne pustkowia, zabija i nie może zabić.

I ja wracam tu na moment, który jest mgniemieniem albo wiecznością, jeszcze jedną krótką wiecznością, wracam do tego czyścica, albo może wodopoju, krynicy orzeźwiającej dla grzesznych dusz. Więc wracam tu, wiedząc, że po małej nieskończoności znowu stąd odejdę, czy raczej ucieknę, i będę tęsknić do bólu, męki, grzechu.

Czekam tyle już wieczności na zrozumienie, na poznanie prawdy największej, na ukojenie w jasności. Jestem psem, dzikim psem przestrzeni rozkurczającej się w męce albo w rozkoszy. To ja ujadam w uroczyskach międzygalaktycznych, to ja wyję do tej najwyższej gwiazdy, która powinna być, ale której może nie ma.

Przez tę wyspę, co jest częścią mojej ojcowizny, idzie ukośnie krzywa droga. Kamienista, porośla z boku starymi trawami, ze śladami kół, co pracowicie meły piach. Pielgrzymuję tą drogą do swojej doliny, to znaczy do tego zakłębnięcia ziemi, które mnie wydało z kojącej, błogiej nicości na świat, na nieskończone istnienie, na

wieczny lęk przed sobą.

Droga zbiega się z torami kolejowymi, które zardzewiały tego lata. Widzę po prawej stronie Puskarnię, zapadłą głęboko w skorupę ziemską, przykrytą rozlewiskami, obrosłą wielkim jak duchy, dzikim kminem, przesłoniętą starymi jak ta dolina drzewami. Później ukazuje się złocisty kamień Młyna Francuskiego w dywanie dzikiej, intensywnej, wścieklej zieleni. Ten młyn to wielka fisharmonia. Jego głos dźwięczny, metaliczny, trochę brzęczący, jego głos jak murmurando wnętrza ziemi, ten głos nigdy nie milknie, ani w dzień, ani w nocy, ani w czasie spokoju, ani w okresach wojen, ten głos wypełnia pustkę doliny, brzmi w uszach przez wieki, w uszach żywych i martwych.

Od młyna biegnie biała, posypana mąką droga przez Belmont do miasta. I tą drogą zawsze idzie z miasta albo do miasta człowiek z wielkim krzyżem na plecach. Z krzyżem nienowym, zszarzałym, u dołu nawet pokrytym mchem. Z krzyżem noszonym przez wielu ludzi. Przez całe generacje ludzi we wszystkich epokach i na wszystkich kontynentach. Ale ten człowiek nie jest Chrystusem, stare duchy, sędziwe zjawy mówią, że to jego brat bliźniak, który nigdy nie wyemigrował do Ziemi Świętej i tu został na zawsze.

Jak długo wracam. Ile wieków, tysiącleci trwa mój powrót. Jaką zastanę ziemię i jaka będzie dolina. Które to już życie rodzi się i umiera na tym odludziu galaktycznym. Czy wyzbyto się bólu, czy oduczono się cierpień, czy zapomniano miłość. Ja wracam i nie umiem wrócić. Jestem coraz bliżej. Jeszcze raz jestem blisko, jeszcze raz wyciągam rękę, jeszcze raz wyteżam wzrok, którego nie mam. Coś mnie strasznie ściska za serce, które skruszało i rozpadło się w pył przed milionami lat, przed chwilą, przed mgnieniem. Strach za mną i przede mną. Co to jest wieczny strach. Wieczny strach to wieczna niewiedza. To lęk przed tajemnicą. Jeszcze jedną tajemnicą we wszechświecie tajemnic.

Wchodzę na tory, idę po podkładach. Powietrze filuje nad rozgrzаныmi szynami przykrytymi cieniutką, rudawą rdzą. Może w tej chwili wyruszył pociąg z miasta i ja mu ustąpię drogi, zejdem na ścieżkę pełną szutru splamionego smarami. Pociąg przetoczy się nade mną, a ja będę wypatrywał w oknach moich bliskich, znajomych albo raz kiedyś spotkanych przypadkowo i na zawsze zapamiętanych. Zadzwończyły rzęsiście druty biegnące brzegiem nasypu do tarczy sygnalizacyjnej. Odwracam się, rzeczywiście tarcza jest uchylona i zezwala na przejazd pociągu. Ale przecież to inny kierunek, przecież tamtędy może nadbiec pociąg z tego niewielkiego miasteczka, gdzie się kiedyś urodziłem, gdzie przyszedłem na świat w innej erze, w kolejnym zmartwychwstaniu małego globu wiszącego na kruchej sieci promieni niewielkiej gwiazdy. Ale chyba nie nadbiegnie stamtąd pociąg i ta tarcza zostanie tak przechylona w geście przyzwolenia aż do następnego końca świata.

Przeskakuję z podkładu na podkład. Staram się iść rytmicznie, jak to zapamiętałem z dzieciństwa swego albo tych ludzi, z którymi przeżyłem tysiące ich żywotów. Niebo jest spopieliałe od upału, dokoła w rowach zarośniętych bujnym zielskiem grają pasikoniki. Po tym niebie, jak kropla rtęci, płynie gdzieś na północ staroświecki samolot. I to przecież pamiętam z mego albo z cudzego życia.

Już jestem blisko. Widzę stacyjkę i zwirowane perony. Po bokach, w cieniu szpalerów świerczków równo przyciętych jak zielona droga, w tych cieniach smolistych bielą się brzozy krzyże na mogiłach samobójców i nieznanym żołnierzy z zapomnianych wojen.

Wstępuję na chwilę w mrok wiaty przystanku kolejowego. Na ścianach z grubych desek pomalowanych na pistacjowy kolor pokolenia uczniów dojeżdżających do miasta wyrzezały niezmierną ilość hieroglifów miłości, cały firmament rozpacz, nadziei i wzniosłej ekstazy miłosnej. Szukam mego znaku. Szukam i nie znajduję.

Może go wyciąłem na innej stacyjce i w innej egzystencji.

A teraz skręcam w lewo, wchodzę na tę uliczkę, co wygląda jak zapiaszczona przez powodzie łąka. Wstępuję na chodnik, a pomiędzy płytami cementowymi rośnie trawa, nawet widzę Łzy Matki Boskiej. Ruszam tym chodnikiem pod górę, ale przecież niezbyt stromą, widzę przed sobą przestrzeń tej uliczki, tak dobrze znajomą mnie albo komuś z istot, którym towarzyszyłem w jakiejś kolejnej wieczności, widzę, jak ta ulica skręca, jeszcze nie wspiąwszy się do połowy stoku, jak skręca raptem w las, co nagle zaczął teraz szumieć przejmująco na moje powitanie. Poszedł wiatr górą przez kogoś wzbudzony, a las przyjął go z westchnieniem i mnie się raptem zdaje, że słyszę w górze, za lasem, na szczycie zbocza, słaby, zacierający się, ginący co chwila głos dzwonu kościelnego na Anioł Pański, na Anioł jakiego Pana, którego z kolei Pana kruchej, trochę idiotycznej egzystencji w mroźnych cieplarniach zapomnianej dawno galaktyki.

A ja otwieram furtkę mego domu i z bijącym sercem, którego już dawno nie mam, wchodzę na podwórze pochyłe, rozmyte przez deszcze, z kupkami kurzego kału, z resztkami sieczki, wchodzę na podwórze moje albo nie moje i widzę, że otwierają się drzwi domu, i czekam zastygły raptem w pół kroku, że ukaże się w ciemnym wnętrzu moja matka, mój ojciec, moi bliscy, że pokaże się cały mój świat, w którym żyłem, jeśli w ogóle kiedyś żyłem.

## Rozdział I

Krótką chwilę walili butami w drzwi. Echo leciało przez wszystkie piętra, odbijając się od ścian pokrytych szrenią. Któryś z nich krzyczał, powtarzał płaczącym głosem jakiś wyuczony rozkaz albo zakłęcie. Wreszcie zajęczała rozdzierająco futryna, poczęły pękać deski drzwi.

Siódmy czekał na tę chwilę od wielu dni. Tak ją sobie właśnie wyobrażał, albo może pamiętał z dzieciństwa. Kiedyś ją widział lub usłyszał w opowieści brata, który nie żył już od wielu lat, tak długo nie żył, że w ogóle może nigdy nie żył.

Siódmy odrzucił koce, nie zapalając światła wymacał stopami przygotowane buty, buty jak do więzienia, jak na zesłanie, mocne, o grubej zelówce, z cholewami. Obok butów na podłodze leżał kozuch i ta torba do dalekiej podróży. Na kozuchu spał kot. Nie chciał zejść, jak zwykle, z ulubionego miejsca, czepiał się pazurami kłaków kozucha i grubego swetra na piersiach Siódmego.

– Cicho, cicho – powtarzał szeptem Siódmy, jakby chcąc uciszyć kota albo własny puls łomoczący w skroniach i między żebrami.

Drzwi na balkon nie chciały się otworzyć skute lodem. Naparł całym ciałem i słuchał chrzęstu sopli. Wreszcie puściły. Wskoczył na balkon pełen zasp śnieżnych. Czarne badyle sterczały z niewidocznych skrzynek na kwiaty. Po drugiej stronie ulicy zapalał się i gasł ze świergotem zdezelowany neon, w którym brakowało wielu liter i nikt już nie pamiętał, co kiedyś on reklamował.

W dole, przy pryzmie śniegu, gdakała na wolnych obrotach milicyjna suka. Kierowca pewnie obserwował w bocznym lusterku tę pustą, mroczną ulicę. Siódmy oparł dłoń na oblodzonej balustradzie, słuchał łoskotów gdzieś w głębi domu, patrzył na obłoki dymu oraz pary wydobywające się z rury wydechowej milicyjnego wozu i nie mógł się zdecydować.

Przecież dawno miał już obmyśloną tę drogę odwrotu, tor przeszkód między wolnością i niewolą. Więc z rozmyślną flegmą przelazł przez barierę, stanął na wąskim gzymsie balkonu wiszącym nad mrocznym, wypełnionym nocą trotuarem, znowu chwilę się wahał. Ale wóz milicyjny stękał jednostajnie, gotowy do biegu, lecz

równocześnie senny, znękany jakby tą przedranną porą ciężką od złych widziadeł i omamów.

Siódmy chwycił oburącz zmarzniętą rynnę i zawisł na niej. Wtedy we wnętrzu czarnego żeliwa urwał się wielki skrzep lodu i poleciał niewidoczny w dół z dzikim łoskotem i rozbił się w kanale. Siódmy wstrzymał oddech. Czekał, co się stanie.

Nic się nie stało. Czarna suka z czerwonymi guzikami świateł pozycyjnych podrygiwała jakby rozgrzewając się pod latarnią. Szofer pewnie drzemał, śnił dawne czasy niewinności.

Siódmy jął ostrożnie schodzić po słupie rynny, wyszukując butami metalowych zaczepów, którymi mocuje się rynny do ścian domów. Potem, kiedy już było blisko ziemi, skoczył w głęboki śnieg.

Chwilę czekał, co zrobi milicjant. W domu ucichło. I co dziwniejsze, we wszystkich oknach było ciemno. Przykra myśl o Wandzie przemknęła przez głowę. Siódmy westchnął. Ostatnio często wzdychał, jak wzdychają starzy ludzie.

Zaczął iść ostrożnie w tę stronę ulicy, gdzie u jej wylotu widać było szpiczasty masyw Pałacu Kultury na tle nieba zimowego, co zbiera nocą wszystkie mętne blaski znękanego miasta. Nikt za nim nie wołał. Nikt go nie gonił. Dopiero teraz Siódmy spostrzegł, że ściska aż do bólu w palcach rzemień myśliwskiej torby, w której niósł ocalony tajemniczy skarb.

Potem spotkał tę dobrze znajomą budkę telefoniczną, z której tyle razy dzwonił do różnych biur, do przygodnie poznanych dziewcząt i do pogotowia ratunkowego. Szklany kiosk był bezwstydnie rozwarły, siarczysty wiaterek przebierał kartki książki telefonicznej wiszącej bezwładnie na pancernym łańcuchu. Siódmy włożył monetę i zdjął lodowatą słuchawkę z widełek. Przyłożył do ucha zimny ebonit. Ale słuchawka milczała. Nawet nie słychać było żadnego brumu ani odległego buczenia, które jest oznaką życia maszyn. Słuchawka była martwa.

Wychodząc z budki, uderzył nogą w jakiś metal, który potoczył się z dzwonieniem do rynsztoka. Siódmy pochylił się, odnalazł w lodowych koleinach żelazny przedmiot, który okazał się łomem. Ktoś go oparł o szklaną ścianę i zapomniał.

– Wezmę go na szczęście – powiedział do siebie Siódmy. – W taką noc łom może przynieść fart.

Wtedy u dołu ulicy zagrzechotał motor na wysokich obrotach, suka milicyjna nawracała, łamiąc lód na zamrzniętych kałużach. Siódmy skoczył bez namysłu we wnękę najbliższej bramy. Wóz milicyjny wolno przejechał obok uciekiniera. W odrutowanych szybach zamajaczyły jakieś barczyste postacie. Furgonetka mignęła żółtym kierunkowskazem i, buksując kołami, skręciła na prawo, w stronę placu, skąd dochodził równomierny warkot wielu grzejących się silników.

Siódmy zobaczył nagle w oszklonej witrynie sklepiku bieliźniarskiego mężczyznę w baranicy z podniesionym kołnierzem. Patrzył przez chwilę na tę nieruchomą postać. To przecież ja, pomyślał. To ja uciekinier.

Wyszedł z bramy na chodnik. Od strony placu ktoś nadchodził ciężkim krokiem. Zobaczył Siódmego i zatrzymał się czujnie. Potem tyłem wycofał się za gazetowy kiosk.

Zostawiłem Wandę samą, pomyślał Siódmy. Może ją zabrali? Może któryś ją uderzył? Zostawiłem Wandę samą. Przewiesił torbę myśliwską przez ramię. Zobaczymy. Zobaczymy.

Miasto milczało jak nieżywe. Nie słychać było gwizdu lokomotyw ani huku startujących samolotów, ani nawet jęku tramwajowych kół hamowanych przed skrzyżowaniami. Tylko ta wrzawa motorów, które skupiły się gdzieś pośrodku placu, ten bełkot żelaznych zwierząt, co czyhały tej nocy na ludzi.

Zaczął prószyć śnieg. Sypał się z mroźnej ciemności jakby dmuchnięty przez odlatującą milczkiem kometę. Siódmy rozpoczynał nowy epizod w swoim życiu. Nową niepotrzebną przygodę. Jeszcze jeden łyk mikstury znieczulającej.

Świadomość. Męka świadomości. Tortura świadomości. Stała pulsacja. Zapomnienie i przypomnienie. Długi strach i krótka błogość. Czyściec egzystencji i nadzieja na raj niebytu.

– Doczekaliście się, hołoto – ktoś powiedział niegłośno. Siódmy obejrzał się. Wszędzie była cisza podszyta monotonnym mruzeniem motorów.

– Teraz będzie płacz i zgrzytanie zębów – odezwał się ten sam głos. Siódmy podniósł głowę. Wydało mu się, że widzi tors wychylonego przez parapet człowieka na drugim piętrze uspiętej kamienicy. – Wczoraj jeszcze była pycha i bezczelność, a już rankiem usłyszysz pokorne skomlenie o litość. Tacy wy jesteście, bohaterscy tchórze, nikczemni świątkowie.

– Do kogo mówisz? – spytał Siódmy w pobliże ściany domu. Ale wtedy spostrzegł, że ten cień schylony nad parapetem to skrzynka z zamrożonym kwiatem, o którym zapomniano jesienią. Dookoła sypał się z brudnej czerni cienki, postny śnieg.

Siódmy czekał pośrodku jezdni wyzuty nagle ze strachu, otulony kokonem swego własnego bólu, z którym nosi się już tyle lat. Jest i będzie. Bez końca, w drganiu powietrza, w liściu drzewa, w kropli wody, w zwyrodniałej komórce zdychającego zwierzęcia. Jest i będzie.

Przed zaśnięciem wczoraj, przed tą drzemką pełną widziadeł liczył swoje nędze: czerwone, królicze oczy, krwawiące dziąsła, ten paskudny stan zapalny w kroku i ból lewej nogi, którą dławi z wolna skurcz naczyń krwionośnych. I nagle teraz zrobiło mu się wszystko jedno. Ruszył wolno przed siebie.

Na placu stały transportery opancerzone, kręcili się żołnierze w rosyjskich czapkach zimowych, ale z orzełkami, jakieś skulone cienie grzały się przy prowizorycznym ognisku rozpalonym niedaleko pomniczka. Grzechocząc gąsienicami żywy czołg włókł na żelaznym drągu martwy czołg. Lecz pod tym gwarem motorów była martwa cisza miasta, które spało albo udawało, że śpi.

Dokąd pójść, pomyślał sennie Siódmy. Gdzie się schronić, żeby przeczekać do rana.

## **Ja:**

Chłop krzyczy z drugiego brzegu przeciągle, żałośliwie. Wiedziony jakimś instynktem kompozycji, skłonnością do rytualizowania zdarzeń i sytuacji, przeistacza ten okrzyk, to bardzo praktyczne zawołanie w pieśń, we frazę muzyczną, w introdukcję chorału ku czci istnienia, egzystencji, bytu. Gdzieś z tyłu, za plecami, za lasem, jest słońce zżółkłe ze zmęczenia przed zachodem. Jego światło zalewa gorącym ten drugi brzeg, czerwonopienny bór sosnowy i strome łąchy białego piasku. Chłop krzyczy niezrozumiale jakimś gardłowym głosem śpiewaka operowego czy raczej cerkiewnego. Ten chłop może być chłopem białoruskim, litewskim, żydowskim.

Rzeka płynie i nad rzeką płynie przedwieczorny upał, sierpniowy niewystygły skwar. A nad upałem i pod upałem płyną jętki. Jedne ślizgają się po wodzie jak łyżwiarze, inne wzbijają się do góry, w głąb szaroniebieskiego powietrza albo nieba, bo w tych stronach niebo chodzi nisko, prawie nad samą ziemią.

Prom, zwabiony śpiewem chłopca, odbija od przystani uczynionej z kilku bali wbitych w dno rzeki i przykrytych platformą z nieokorowanych półokrągłaków świerkowych. Przewoźnik drewnianym uchwytem skrzypi na zardzewiałej linie



skręconej z wielu cienkich drutów. I mnie coś ciągnie na tamten nieznany brzeg. Mnie jakiś tajemny nakaz popycha ku dalekiemu kontynentowi po drugiej stronie rzeki.

Wchodzę do wody nagrzanej z wierzchu, pachnącej zielenizną, zimnej od dołu, od mulistego w tym miejscu dna. Woda obejmuje już uda, chwyta czarne majtki płócienne, obejmuje brzuch. Mimo woli podnoszę obie ręce ścięte gęsią skórką. Wstępuję w cień między te pionowe bierwiona obrosłe jakimś skarłałym mchem albo zieloną pleśnią. Słysząc kijanki bab piorących bieliznę w rzece, gdzieś obok za zakrętem kąpią się starsi chłopcy i woda wydaje głębokie butelkowe stęknięcia dręczona ich psotami. A ja idę coraz dalej ku nurtowi rzeki, chociaż mi nie wolno, nie wolno mi w ogóle samemu wchodzić do rzeki. Gdzieś tu z tyłu pachnie mięta, pachnie kruszyna, wonieje gorzko piołun, a ja przesuwam się koło tych oślizgłych bali, już w tym miejscu czarnych, pozbawionych narośli, wiem, że przede mną śmierć, i nie mogę się powstrzymać. Nad głową brzęczą komary, jakiś ptak leci krzywo, coś wołając rozpaczliwie, od zachodu płynie coraz gęstsza cisza, przede mną złoty, tajemniczy brzeg, nieznany bór, niedocieczone życie. I nagle zaczynam tonąć. Umieram.

## Rozdział II

Pół roku temu Siódmy przeszedł na rentę. Setki tysięcy Polaków rozchwytywało przedwczesne emerytury i wątpliwe renty inwalidzkie. Konający reżym zgadzał się na wszystko.

Siódmy stanął przed komisją złożoną ze znajomych lekarzy, ci zbadali płuca z gruźlicą zaleconą w latach pięćdziesiątych i orzekli inwalidztwo. Siódmy z dnia na dzień stał się rentierem.

Teraz okazało się, że dzień jest bardzo długi. Noce jeszcze dłuższe. Siódmy począł szukać zajęcia. Znalazł je w Związku. Został drukarzem. Wynalazcą nowej technologii powielania broszur.

Gruźlica przysłała któregoś wiosny podczas studiów. Gruźlica wtedy była siostrą śmierci. Demoniczną starą panną o gorącym dotknięciu i ciężkim oddechu.

Siódmy zaczął się budzić nad ranem mokry od potu. Później pewnego ranka splunął po raz pierwszy krwią. To znaczy splunął płwociną, w której czerwieniały żyłki krwi. Zrozumiał, że to początki gruźlicy. Gruźlica była wtedy dobrą znajomą wszystkich ludzi.

Jeździł tramwajem za miasto i szedł do lasu pełnego wiosny, zapachu żywicy i krzyków ptasich. Kładł się w wysokich trawach, które nazywano Łzami Matki Boskiej, i patrzył w niebo, a właściwie w wierzchołki drzew, co omiały przeraźliwie niebieskie niebo, bo niebo w tamtych czasach było jeszcze niebieskie, jak je Pan Bóg stworzył.

Więc Siódmy leżał w lesie i sposobił się do śmierci. Wtedy na gruźlicę umierało się długo, czasem nawet bardzo długo. Umieranie na gruźlicę bywało całym życiorysem. Więc Siódmy leżał w lesie zwariowanym przez wiosnę i słuchał skradającej się ze wszystkich stron świadomości. A przypominała ona jakąś muzykę, raczej refren muzyczny, monotonną i natrętną frazę konstatacji istnienia, egzystencji zwielokrotnionej i dotkliwej jak ból zęba. Ta świadomość przeobrażała się z wolna w stan fizyczny, była jak granitowy pomnik nie do skruszenia, nie do zwalenia w przepaść niepamięci. Świadomość jak choroba, świadomość jak przekleństwo, świadomość jak przestrzeń bez horyzontu.

Wtedy Siódmy po raz pierwszy zaznał strachu, który później przychodził nocą albo w połowie dnia, strachu jak szubieniczna pętla. Strachu przed myśleniem i gonitwą obrazów, które rodzą się na mgnienie i giną na chwilę w czarnej głowie wyłożonej czarnym aksamitem na podobieństwo kamery obskury. Wtedy Siódmy po

raz pierwszy nauczył się modlić o nieistnienie, o łaskę niebytu.

Podczas lekarskich badań jesiennych, z początkiem nowego roku akademickiego, wykryto w płucach Siódmego kawernę wielkości włoskiego orzecha. Na początku zimy wyjechał do sanatorium w górach. A góry to był w owych czasach czyściec wszystkich suchotników. W dzień i w noc patrzyli na rumowisko skał posypanych hojnie śniegiem i czekali w dygocie, aż nadleci zza tych gór duszny wiatr halny, aż zajęczy wysokim tonem znienacka i będzie tak wył dzień i noc przez wiele dni.

Sanatorium to był dziwny dom albo zamek zbudowany przez dziwaczego architekta na przelomie wieków. Tylko z lotu ptaka można by było poznać jego prawdziwy kształt i rozmiar. Siódmy błąkał się wiele razy po korytarzach stale skręcających nie w tę co potrzeba stronę, po piętrach, półpiętrach, ćwierćpiętrach. Bardzo często nie mógł potem trafić do swego pokoju i musiał prosić o pomoc spotykane pielęgniarki albo błakających się jak widma starych gruźlików, co umierali tu jeszcze od przedwojennych czasów i nie mogli umrzeć. Mówiono, że w tych labiryntach do dziś włóczą się dusze wielu sławnych suchotników, których tu zsyłały zatroskane rodziny na dożywocie.

Podczas jednej z takich wędrówek Siódmy spotkał kuśtykającego pracownika kalekę, chłopca w tym samym co on wieku. Posługiwał się kulami, a pusta nogawka prawej nogi była przypięta wielką srebrną agrafką do biodra. Chłopiec o kulach uśmiechnął się konfidencjonalnie, Siódmy nie wiadomo dlaczego skłonił głowę w niskim ukłonie. Za chwilę, jakby powodowani tą samą siłą, odwrócili się, spojrzeli na siebie z oddali i zawstydzeni ruszyli każdy w swoją stronę.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI